



439783
1075744

Towarzyszom broni

autor



IK 420.

II 340995



Biblioteka Główna
Uniwersytetu Gdańskiego



1100464979

30-

IK 841/93/80

MÓJ CHRZEST OGNIOWY

Choć wiem, że nie czasy, by śpiewać wierszami,
Boć prozą dziś życie codzienne,
Niech będzie mi wolno opisać tymami
Rodaków ofiary płomienne.

Chcę mówić o czynach, o odkupieniu,
Jutrzence Wolności, co wstaje,
A takie tło w prozie byłoby w cieniu,
Tu przecież wiersz się nadaje.

Nie mam zamiaru być wielkim poetą,
Z genjuszem wieszczów się mierzyć,
Potężnych duchów się szczyścić zaletą,
Chwałę zdobywać i szerzyć.


Lecz wiecie zapewne, że proste piosenki
Pastuszek nawet układa,
Że żołnierz, po trudach wracając z wojenki,
W nich radość swą wypowiada

I wdzięczność za życie, co Bóg uratował
W bitew straszliwym zamęcie,
Gdy drogi bezpieczne wśród kul torował,
O mocy Swej dając pojęcie.

Więc ja też opiszę wierszami prostymi,
Co duszę nieraz gnębiło,
Gdy trzeba iść było szlakami krtawymi,
Lecz także, co radość sprawiło.

Niech nikt płochego wesela nie szuka
W mych wierszach, choć uśmiech jest zdrowy,
Lecz tu treść poważna. Do serc niech zapuka
Pieśń moja: „MOJ CHRZEST OGNIOWY“.

Będę ja także w niej pisać o balu,
Lecz nie o pięknej kobiecie,
Ale wśród tańców potworów z metalu,
Ciekawe też rzeczy znajdziecie...

hmury zaćmiły niebiosów błękity:
Trzy kruki z legowisk powstały;
Zerwali się króle i dumne ich świty —
Gniew Boga otoczył świat cały.

Zabrała mię wojna na długie tułanie,
By dołą nieznaną mię zdziwić,
By dać mi twarde i zimne posłanie
I marnym chlebem mię żywić.

Zabrała życia coledwie zaczęte,
By stargać im zdrowie i siły,
By ich zamiary, w nadziei powzięte,
Zawlec do wspólnej mogiły.

Zabrała też moich rodaków wiele,
Aby za obcych się bili,
By za swych wrogów zaborcze cele
Młodą krew swoją trwonili.

Lecz ojciec i matka wpajali nadzieje,
Że z ofiar, co niosą młodzi,
Kraj nasz, przez twarde idąc koleje,
Znowu się pięknie odrodzi...

Że Bóg zakończy długie Swe kary
 Za dawne winy narodu,
 Że znów powieją polskie sztandary,
 Że nie doznamy zawodu.

Wierzyłem, że próżne są skargi i żale,
 Że nagle nic się nie zmieni,
 Czekałem więc, los swój znosząc wytrwale,
 Wolnych pól naszych zieleni.

*

*

*

O świecie atak. Mars nie chce już targu —
 Gorlice — czołowy punkt klina.
 Dla armij, co długo leżały w letargu,
 Decyzji wybiła godzina.

Znów ma się rozpętać na mil szerokości
 Straszliwych bitew pożoga,
 Znów będzie się szerzyć wśród biednej ludności
 Okropna rozpacz i trwoga.

I zaczną płonąć miasteczka i wioski
 Tej polskiej ziemi znękaney,
 O dach nad głową rozpoczną się troski
 Ojca i matki splakanej.

*

*

*

Zwartym szeregiem kroczą saperzy,
 Niejeden nosa zadziera.
 Od jutra śmierć lub życie zależy
 — Ty się boisz! — kamrata nabiera.

Ale niejeden głęboko skupiony
 Niechętnie myśli objawia,
 Swojego rynsztunku ciężarem schyłony,
 Z własną swą duszą rozmawia.

Bum — bum... i cisza złowroga zalega. —
 — Kul im brak! — jeden już szydzi,
 Lecz inny, wytrawny, głośno przestrzega,
 Że „szklane oko“ nas widzi.

— Rozsypać się! — german o hardej twarzy
Rozkaz wydaje spóźniony.
Bum — bum! i więcej... Wróg ogniem nas praży,
Niejeden już leży skrwawiony.

I nim żołnierze, w szeregach zbici,
Rozlecieć zdołali się w trwodze,
Już pięciu rannych i dwaj zabici
Wśród gruzu zostali na drodze...

*

*

*

Hej, Śmierci okrutna! to tak ci się pali,
Że ostre nam ślesz żelaziwo?
Gdy wróg nasz jesszcze w takiej oddali,
Ty już zaczynasz swe żniwo?

Toć my dopiero jutro o świcie
Ujrzeć myśleli twą postać,
A ty nam nagle, przychodząc tak skrycie,
Z swoimi już każesz się rozstać?

Toć my, dochodząc do frontu w spokoju,
O domu pragnęli pomarzyć...
I nim nadejdzie krwawego czas znoju,
Bogu się chcieli poskarżyć.

A tyś nam przysłała jad swój zatruty,
Gdy serca mówiły pacierze;
Lecz nas zmieniłaś przez dwie te minuty —
My teraz starzy żołnierze.

Stałą i ogniem tyś nas ochrciła,
Pojęcie o tobie dziś mamy,
Już w naszych duszach inna jest siła,
Zaskoczyć się teraz nie damy!

Tak nagle, zniemacka już na nas nie zlecisz,
Wpierw głucho nam musisz zadzwonić,
I naprzód nam bladym swym blaskiem zaświecisz,
A my tobie będziemy się bronić.

Dwom rannym kamraci rany już goją,
Trzech się wozami odsyła,
Lecz pierwszą czołową drużynę moja
Wyrażnie Śmierć upatrzyła.

Jeden z mych Niemców przy drodze w dole
Ma ramię i bok wyrwany;
A mój poczciwy Urbanek na czole
Ślad małej, okrągłej rany.

Pięć kroków od niego, gdzie w sobie skulony,
Tajemną ciszą przykryty,
Tam jego karabin, w pałąk skrzywiony,
Innym pociskiem zabity.

Urbanku, żołnierzu! Tyś Odrodzenia
Naszego kraju nie dożył,
Lecz do przyszłego Wolności istnienia
Tyś swoją cegiełkę już złożył!

My wszyscy budujem, choć wielu już w grobie,
Lecz z Boga wszechmocnej woli
Wróg w swych szeregach przeciwko sobie
Dobrego żołnierza wyszkoli,

I jego bronią my cios mu zadamy,
Tą, którą dzisiaj nosimy,
Jemu z przymusu ofiary składamy,
A sobie przyszłość tworzymy.

Tyś poległ przedwcześnie, Drogi Rodaku!
Cóż twoi na to powiedzą?...
Żeś jest na froncie, nie dałeś im znaku,
Co będzie, gdy się dowiedzą?

Nie są świadomi, że sine twe wargi....,
Że leży tu syn ich kochany —
Nie usłyszeli ostatniej twej skargi
Na los taki nieubłagany.

A może jednak już teraz coś wiedzą?...
W bezruchu, w siebie wpatrzone,
Wokół przy ogniu w izbie tam siedzą
Postacie, czemś strasznie zdziwione...

Ty, co przybywasz o równym czasie
Do wielu ludzi z zaświata,
Co nowe pomysły masz ciągle w zapasie,
Co twarde serce masz kata —

Tak, tak, z pewnością, złowrogiem echem
Tyś w piecu tam zahuczała,
Albo też, patrząc z szyderczym uśmiechem,
Do okna im zapukała....

Już oni teraz spokoju nie mają,
Stuk każdy przerywa im ciszę,
Lecz próżno od syna wieści czekają...
O synu im wojsko napisze.

*

*

*

Tam w małym lasku, darninę zrywając,
Postacie się pochyliły,
Bliźnim ostatnią przysługę oddając,
Pośpiesznie dwie kopią mogiły.

Wokoło, o twarzach smutkiemznaczonych,
Żołnierze się ustawili,
I dwóch, na zawsze ze służby zwolnionych,
Do dołów ostrożnie spuścili.

Darnią przybrane pagórki urosły:
Polaka i Niemca przykryły;
Naprędce ciosane dwa krzyże się wzniosły,
Obydwoh w przyjaźni złączyły.

Na grobie Urbanka karabin skrzywiony,
W słońca zachodzie czerwieni,
Przez proste serca na krzyż zawieszony,
Krwawym odblaskiem się mieni.

A blask ten dalej do dusz nam odbija
I w oku ogniem nam pali —
I tylko wódz hardy swą litość zabija
I stoi wykuty ze stali.

Kapelan kompanji modlitwy odprawił,
Groby poległych poświęcił,
Nas pozostałych pobłogosławił,
Do walki jutrzejszej zachęcił.

Gdzieś niedaleko pocisk uderza...
Znów błąka się ta, co ich wzięła,
Strach w sercach budzi, i oczy rozszerza,
Ta duma ze swego dzieła.

Żegnajcie, kamraty! Śpijcie wśród lasu....
Czyżbyście wy żyć woleli?
By was pochować, nie brakło nam czasu,
Toć piękny pogrzeb wy mieli.

Niech wam się nie zdaje, że jutro o świcie,
Jeżeli śmierć nas zabierze,
Nam także zielone dadzą przykrycie,
Lub będą nam mówić pacierze.

O nie, Moi Drodzy, nas bardzo wiele
Wrzucą do dołu wspólnego,
I nie wybiorą jutro, w niedzielę,
Miejsca tak zacisznego.

Więc się nie skarżcie, przerwijcie swe żale,
Każdemu z nas życie przeminie,
Lecz nam trzeba dalej trud znosić wytrwale,
Nam jeszcze pot z czoła popłynie.

*

*

*

W otwartem polu, przez wąskie rowy
Kroczy my w nieznany świat szary,
Gdzie rów niegłęboki, schylamy głowy,
Sunie my spokojnie — jak mary.

Na ciemnym niebie gwiazdy migają...
Myśl naszą ciągną w przestworza —
I gwiazdy, i myśli wnet poznikają,
Rozproszy je gniewna dziś zorza.

Strzał gdzieś w oddali! — Ha, ha! Kostusiu,
Tam z rury tyś wyleciała...
Musisz poczekać, kochana paniusiu,
Twa droga do mnie niemała!

Za kilka sekund, a to mi wystarczy,
By ci usunąć przeszkody,
Za małą chwilkę tu coś zawarczy,
Lecz ja przecież żołnierz niemłody.

Już ja na ziemi i na dnie rowu.
Jest. — Bum! — W powietrzu rób dziury...
Znów: — Bum! — daleko, — lecisz już znowu,
Leć lepiej spowrotem do rury.

I znów bliźiutko, i znowu bezsilnie
Nad głową coś szum zrobiło.
A widzisz? nie słuchasz! Radziłem niemylnie,
Głęboko cię w ziemię zaryło.



Rakieta świetlna w górę się wzbija.
Upiory zastygły w bezruchu...
Wolniutko opada, ciemnicę przebija
Zwiastunka nowego wybuchu.

Opadła — i ciemno — i chwila czekania...
Och! Jakże ciemności pragniemy!
Znów ślad zgubili naszego skradania,
Spokojnie więc dalej idziemy.

Tu rów się wznosi, i nie tak głęboki,
By przykryć wysokość człowieka;
Ten, co przede mną, tu zwolnił swe kroki,
Ten za mną — niech także zaczeka.

Pani Kostusiu, pomimo błota
Ma postać tu niższy się cała,
Tu się przeczołgam na sposób kota,
Bobyś mię jeszcze ujrzała.

Niech ten, co za mną, niech ze mnie się śmieje
Niech tobie więcej zawierzy,
I jego wielkość dziś także zmaleje,
Gdy raz, widząc cię, oczy wyszczerzy.

Trata — ta-ta-ta!... ha! widzisz, wiedziałem,
Na cztery wiatry ja kuty,
Ja znowu w karty z tobą wygrałem,
Ja znam już twoje atuty.

W małych płaszczkach ze stali skulona,
Wcwał lecis do mnie z terkotem
I znowu wyciągasz ku mnie ramiona,
By krew moją zmieszać z tem błotem.

Lecz się spóźniłaś, bo mnie już kryje
Ziemia wysoką tą ścianą,
A ten, co był za mną, ten, śmiejąc się, myje
Bez wody twarz błotem zwalaną.

A może mię jednak potęgą swą zdziwisz,
Gdy pójdziesz drogami wszystkimi...
Gdy naraz tysiące palców zakrzywisz
I wszędzie wyrośniesz z ziemi?

A może w końcu z mą wiarą mię skłócisz,
I strach zwątpienie przyniesie,
I może swą pętlę na mnie zarzucisz
Nim jeszcze słońce się wzniesie?...

Gwiazdki na niebie, co w nocy nie śpicie,
Nie szcędząc blasku nikomu,
Czyliż wy teraz także widzicie,
Co moi robią tam w domu?

A może matka w tej właśnie godzinie
Los mój wyczuwa zdala,
I, by rozproszyć złe myśli o synie,
Światło przy łóżku zapala...?

Lecz cóż to tę ciszę nocy przerywa,
Pociąga duszę stroskaną?
Toż trąbka gdzieś w rowie strzeleckim wygrywa
Pieśń, sercu polskiemu tak znaną...

„Kto się w opiekę“... słuch mię nie myli —
Trąbka gra czysto wśród nocy;
A może matka dla syna w tej chwili
U Boga też wzywa pomocy.

Czy słyszysz, Kostusiu, czy wiesz kto jest w niebie?
Więc wiedz, choć postaci twych roje,
Choć wiem, że masz władzę, uznaję ja ciebie,
Lecz ciebie się jednak nie boję.

*

*

*

Front. — Po raz pierwszy przed wroga obliczem,
Co w rowach przed nami tam leży,
Lecz nie zdołacie przekonać mię niczem,
Że jego zabijać należy.

Prawda, jest wróg tam, są także kaci,
Co moich nieraz gnębili,
Co w śniegi Sybiru gnali mych braci,
Za miłość Ojczyzny — zabili.

Lecz bracia tam także stanąć musieli
Jak ja tu między obcymi,
Więc według mej woli karabin wystrzeli
I granat mój ręczny zadymi.

*

*

*

Cóż to! tak grzecznie roboty rozdaje
Porucznik, co duszę ma węża?
Z każdym z osobna się prawie zadaje
I siebie samego zwycięża?

Ten, który wszystkich świadomie i w złości
Wstrętne słowa przezywał,
Ten, co o swojej wciąż krzyżując dzielności,
Każdemu ducha złamywał,

Który na wszystko zjadliwie mruczał.
Wszyscy, jak licho, go znali.
On, co bez wstydu i swoim dokuczał!
Polacy „Jakóben“ go zwali.

O krzywdach naszych nie pamiętając,
Wściekłością się dziś nie unosi,
Spokojnie, uprzejmie zlecenia wydając,
Nieomal każdego z nas prosi.

Dlaczegoż on nagle grzecznością się wsławia,
Ten nasz Tersites prawdziwy?
Czyliż od swoich się kulki obawia,
Że o nas dziś taki troskliwy?

Czyż teraz ma zamiar w poczciwca się bawić?
W przeciągu jednej godziny
Nam nagle te wszystkie krzywdy naprawić,
I nieczne, podłe swe czyny?

Zapóźno o siebie się troskasz, Jakóbie,
Zapóźne twoje zwątpienie!
Tu każdy myśli o rychłej zgubie,
Co ma nieczyste sumienie.

Tu każdy ma wiecznie niepokój o siebie
I boi się cienia swojego,
Tu widzi się ciągle na własnym pogrzebie,
Kto w życiu nie kochał bliźniego.

Rozdano wódkę pomiędzy przybyłych,
I pełni nowej podniety,
Wśród pali w zasięgach z drutu zawiłych
W ziemi już ryją, jak krety.

Rowy w kierunku prostym do wroga
Kopie tak zmiana wciąż nowa,
Na wierzchu te prace chroni załoga,
Ciągle do strzału gotowa.

Inni kolczasty drut przed rowami —
Aby przeszkody usuwać —
Leżąc na ziemi i tnąc nożycami,
Muszą się naprzód posuwać.

Po trzech godzinach skończona praca:
Przygotowania gotowe,
I każdy do rowów szczęśliwy powraca,
Że jeszcze nosi swą głowę.

Wszyscy czekają kiedy zagasną
Jasne światełka nieba,
Pracą zmęczeni dziś już nie zasną,
Lecz długo też czekać nie trzeba.

Walkę teraz bez gwałtu staczają
Noc z brzaskiem dnia tak bliskiego,
Lecz dusze nasze dziś nie zaznają
Radości słońca jasnego.

*

*

*

Bum! — — — ... jeden tam huk w oddali.
Swiszcząc, powietrze pruje
Ten pierwszy potworny sygnał ze stali,
Innym drogę toruje.

I lecą za nim setki, tysiące
Przez jedną zaledwie minutę,
Już tam się sypią żelaza gorące,
Wraz siejąc powietrze zatrute.

Lecz tamci ślą także te same padalce:
I u nas się ziemia podrywa,
A niejednemu z nas kurczą się palce,
Nim kilka minut upływa.

Dwie armje się teraz zajadle zwalczają,
Otwarły dział swych paszczyki,
Już sobie wzajem przekleństwa miotają,
Nie dbając o rannych swych jęki.

Płoną dokoła wioski sąsiednie,
Rozpaczy wiatr niesie wrzawę,
A mrowie żyjących z pewnością rzednie.
Nadeszły godziny krwawe.

Śmierci! W dzień Pana się bierzesz do dzieła
I groźną błyskasz nam bronią?
Tyś dzisiaj do pracy rękawy zagięła!
Toć ludziom w kościołach dziś dzwonią.

A ty, nim świta, ogniem nam plujesz,
Postacią swą dusze zastraszasz,
Gdzie spojrzeć, dokoła zagładę szykujesz,
Do wiecznych mroków zapraszasz?

Drżą groźnie Gorlice: ryczą armaty,
Niszczą na szczątki i miazgi,
Okrutnie ryją po rowach granaty;
Sypią się bryzgi i drzazgi.

Przez dym, co od słońca krwawo się jarzy,
Wciąż nowe lecą potwory:
Śmierci posłuszne, tysiące grabarzy
Grzebie dla ofiar jej nory.

Zjadliwy świst kul powietrze przeszywa,
Bije grad gęsty ze stali,
Ranny napróżno ratunku przyzywa,
Schron każdy w gruzy się wali.

Wszystko już duchem złym opętane:
 Lucyper rzucił swe karty.
 Przez niego z dołu na ziemię wysłane,
 Z piekła zerwały się czarty. *

Śmierci straszliwa! Drapieżny szakalu!
 Rzucaj się tam i spowrotem,
 Szalej i ciesz się na strasznym swym balu,
 Krwią bluzgaj, żelazem i błotem.

Leć w prawo i w lewo, jak pomyłona,
 Ty zwarzowana Kostucho!
 Krzycz mi swe wróżby, ty wiecznie spragniona,
 Że mi nie ujdzie na sucho. —

Już doskakujesz, pewna swej mocy,
 Chcesz także mnie rzucić w krwi rzekę,
 Lecz pomnij to, coś słyszała tej nocy,
 Pamiętasz ty: „Kto się w opiekę“?

Jest Ten, co krokami twojami kieruje,
 I Jego słuchać ty musisz,
 Niech się twa postać wszechwładną nie czuje,
 Wszystkich tu dziś nie zadusisz!

Zarówno, jakie ty kształty oblekasz,
I skąd się ich rój roztacza,
Na wielu, co walczą, ty jeszcze zaczekasz,
Kres życia Bóg Jeden oznacza.

Dwie długie godziny huragan szaleje.
Już słońce świeci swem złotem,
Do duszy przenika, rozbudza nadzieje,
Że wszyscy nie legną pokotem.

Już i rezerwy pod ziemią nie siedzą,
Zajęły pozycje czołowe,
I każdy ruch wroga uważnie śledzą,
Ostrożnie kryjąc swą głowę.

Lecz nas niejedni na zawsze żegnają,
I śmierć zamyka im oczy,
W ich miejsca wciąż nowe siły wpadają;
Karabin walkę już toczy.

Chyba się tamci wkrótce poddadzą
I z nami rozpoczną swe targi,
Niechże nareszcie broń swą oddadzą!
Ogień tak piecze nam wargi!

Już też i nasze od częstych pocisków
Rowy się z ziemią zrównują,
A oczy od wiecznych ognia przeblysków
Okropnym żarem nas kłują. .

Nie wytrzymali. Już z rowów wychodzą,
Podnoszą ręce do góry,
I krzyżąc ku nam, żałośnie zawodzą,
A wokół nich ognie i chmury.

Lecz ogień trwa dalej. Głosy za nami
— Zaprzestać! — zawzięcie wołają,
A z rowów naszych na rozkaz salwami
Do tamtych wciąż dalej strzelają.

Padli bezbronni! Krew woła do nieba
O pomstę na ludzi, — szakali;
Niebo usłyszy: zabraknie chleba
I świat cały się ogniem zapali.

*

*

*

Tam wprost przed nami niema przeszkody,
Więc nacóż my jeszcze czekamy?
Już niecierpliwi się starszy i młody,
Dlaczego rozkazu nie mamy?

Gdzie nasz porucznik odważny i śmiały,
Co nas ma dalej prowadzić?
Chyba granaty mu nogi urwały,
Boć on nie mógłby nas zdradzić!

— Gdzie nasz Jakóbek? — wzajemnie pytają —
Każdego martwi ta zguba,
I jedno oko mrużąc, wołają:
— Niema, ach! niema Jakóba! —

Nasi na prawo idą już w rzędzie,
Dalejże się naprzód uwijać!
Dobrze, że walki zbliżka nie będzie,
Naprawdę, nie chciałbym zabijać.

Idziemy nieomal zwartą kolumną
Obok kolei wzdłuż toru,
Każdy unosi głowę swą dumną,
Lecz nagle biją nam z boru.

Już bez rozkazu, w maleńkiej chwili
Nasi się rozsypali,
I tamtym, których w lasku zoczyli,
Zabójczy ogień posłali.

Strzelamy z poza kolei ochrony,
Pozycja dla nas nielada,
Ciągłe ktoś nowy tam, śmiercią goniony,
Małego lasku dopada.

Każą mi strzelać i celu nie mijać,
Dobrze, nie chybię ni razu,
Wrogów i braci na ślepo zabijać!
Pokażę, jak słucham rozkazu!

Na łące kopią zwierzątka znojnje,
Małych pagórków bez liku,
Tam kulki moje ugrzęzną spokojnie, —
Trach-trach! Uciekaj, kreciku.

Cóż to, — pod lasem o kamień w tej chwili
Ktoś z tamtych się potknął i leży;
Kamieniu! Twe serce z boleści zakwili,
Bo kulka ma w ciebie uderzy!

Może ten upadł, co pieśnią nam drogą
Boga pomocy przyzywał,
Co w nocy, nie chcąc załamać się trwogą,
Tak cudnie na trąbce wygrywał?

Podniósł się jednak po krótkim spoczynku
I dalej do lasu zmyka,
Lecz nie daruję złego uczynku:
Trach! — gruzy —, niema kamyka.

Nie czas na kulkę do tego kruka,
Co śmierci wtóruje swe gamy,
Naprzód! Znów serce prędeej zastuka,
Tamtych my dalej znów gnamy.

Dwa dni i noc całą my tak ich ścigali,
Już błędne kiwały się głowy;
Drugiego wieczora nareszcie kopali
Nowe pozycje i rowy.

*

*

*

Drugiego wieczora leżymy w ochronie:
Namioty na noc zbudowane;
W armatach „gulaszu“ ogień już płonie,
I rummy wnet mają być grzane. .

Już wkoło tych armat obchodzą jak koty,
I kuchtom się przymilają,
Gdy idzie kapitan, to pełni roboty,
Do lasu po drzewo znikają. -

Wieść nagła wszystkich okropnie zdziwiła,
Gdy tych, których brak, wyliczono:
Kompanja o jedną się piątą zmniejszyła —
Co bez omyłki stwierdzono.

Pięćdziesiąt i dwóch — li tylko saperzy
Zabici i ranni w tej bitwie,
A iluż to wszystkich razem żołnierzy
Paść mogło w tej strasznej gonitwie?

Pamiętam — jak dwaj z plutonu trzeciego,
Gdy listę zabitych czytali,
Słyszac o śmierci kamrata wiernego,
Nieomal się jawnie spłakali.

Żołnierz — i płakać? Wy się dziwicie!
A żołnierz też serce ma tkliwe,
Bądźcie na wojnie, to zobaczycie,
Łzy jego są szczerze, pocziwe.

On często się łatwiej bólem uniesie
Nad stratą swojego kamrata,
Niż wtedy, gdy pismo wieść mu przyniesie
O śmierci własnego brata.

Nierzadko mu oko z żalu się rosi;
Wtedy oddala się skrycie,
Bo patrzeć nie może, co wojna przynosi,
Jak smutne bezbronnych jest życie.

Nie biada nigdy nad dołą swą znojną,
Lecz często się łatwo rozczula,
Widząc, jak matka w ucieczce przed wojną
Płaczące dziecko przytula.

*

*

*

Przy ciepłym ognisku siedzimy dokoła,
A każdy przy sutym obiedzie;
Wtem kucharz do ognia głośno nam woła:
— Jakób, ach! Jakób nasz jedzie!

Naprawdę, z chłopskiego on wozu wysiada,
Głowa kroplista od potu,
Lecz zdrów jest i cały, twarz przecież nie biała,
Do wodza już pędzi namiotu.

A my, miast jak dzieci w „Powrocie Taty“
Doń się utulić na łonie,
My teraz jemu życzymy zraty
I w duszach wściekłość nam płonie.

I wszyscy, jawne tchórzostwo widząc,
Za siebie się wzajem chowają,
I pełni ironji, zjadliwie szydząc:
— „Jakob, wo bist du?“ — wołają. —

Kucharzu, nie wydać obiadu wszystkiego!
Niech mięso się w kotle obraca,
Napić, nakarmić żołnierza dzielnego,
Co z bitwy ostatni powraca!

Jakóbie, tyś uciekł, zostałeś wśród tchórzy,
Chroniąc tej marnej swej głowy,
Ja nie zazdroszczę tobie tej burzy
I z twardym dowódcą rozmowy!

Nasz Jakób odtąd prowadzi furgony
I ważną funkcję ma nową:
Na obiad w półmisków uderza dzwony
I włada łyżką wazową...

* * *

*

Pierwsze ty moje ognisko na wojnie,
Jak ja cię dzisiaj wspominam!
W myśli tak patrzę w żar twój spokojnie,
Co było, powtórnie przeżywam:

Widzę przy światła twojego odbłasku
Kamratów okrągłe rzędy,
Słyszę wśród twego skwierku i trzasku,
Wesołe i smutne gawędy...

Widzę niedolą kraj swój stargany,
W duszach rodaków zwątpienie,
Gdzie okiem sięgnąć — zniszczone łany,
Po gruzach sunące cienie.

Pola, na których legli żołnierze —
Nie poznam braci lub wroga,
I nacóż rozróżnić — zawarli przymierze
I wspólna duchów ich droga.

Widzę, jak wokół wioski się palą,
Niszcząc wieśniaków mienie,
Słyszę, jak przy nich chłopcy się żalą,
I psów domowych skomlenie.

Widzę wieśniaczek długie szeregi,
Na twarzach te łzy ich gorące,
I wozy ładowne po same brzegi,
A wokół nich dzieci kwilące.

Ludzie, popatrzcie! tam broń błyska wdali, —
Zostawcie sprzęt na zagonie,
Na drogach wojsko, do rowów go zwali,
Zabierze wam wozy i konie.

*

*

*

Przy iluż to jeszcze ogniskach się grzałem
Na wolnej Ojczyzny ziemiach?
Lecz ile też innych obrazów widziałem
W ich ogniu jasnym płomieniach!

Widziałem braci, do czynu się rwących,
I piękne zamiary w ich oku:
W kołach nad ważną sprawą radzących,
Z szablami ojców przy boku.

Jak wrogów znaki darli na strzepy,
Na broń swą przysięgi składali,
Jak powstające odwetu zastępy
Skwapliwie wciąż zapełniali.

Widziałem, jak gestem wspaniałym i dziarskim
Odważni chłopacy mali
Silnym i butnym żołnierzom cesarskim
Ich ciężką broń odbierali.

Widziałem kraju piękne powstania:
Kobiety, sztandary szyjące,
Słyszałem: „Niech żyje Polska!“ wołania
I wokół zapały gorące.

I dźwiękiem radości bijące dzwony:
Przez pola śniegiem zbielone
Poszły znów nowe nasze legjony,
W niewoli jeszcze stworzone.

Widziałem naszych dzielnych żołnierzy
W mundurach i w zwykłym stroju,
W licznych okopach wzdłuż kraju rubieży
Z radością idących do boju.

Niejeden, co lata na obcych błoniach
Walczył i zdrowie zachował,
Teraz, karabin ściskając w dłoniach,
Ojczyźnie życie darował.

Opustoszały zagrody, szpitale,
Poszedł i zdrów i kaleka,
Już Orzeł Biały uniósł się w chwale,
Lecz droga do gniazda daleka.

Leć, Wolny Orle, nabieraj siły,
Nie żałuj trudu i znoju,
Jeszcze zobaczysz liczne mogiły,
Lecz potem osiedzisz w spokoju.

Widziałem pod armat pociski biegnące
Z niezwykłą brawurą tak hardą,
Kobiety i dzieci, miasta broniące,
Ze śmierci prawdziwą pogardą.

A później znowu naszych, walczących
Z dawnymi wrogami swoimi,
Cud piękny nad Wisłą z męstwem tworzących,
I księdza z krzyżem przed nimi.

Sprawdziło się wszystko, co matka wróżyła,
Co ojciec przewidział stary,
Zszarpały się kruki i przysła ich siła:
Kraj zrodził się z własnej ofiary.

*

*

*

Cześć Tobie, Polsko, gwałtem zabrana!
Mieczem z zapalem żarliwym,
Potężnym wrogom gniewem wyrwana,
Tak świętym i sprawiedliwym. .

Zdobyta nędzą tej polskiej kmieci
I bohaterów niewolą,
Cierpieniem i głodem płaczących dzieci,
I siwych starców niedolą.

Cześć Tobie, bólem serc wymodlona
Tych matek, co synów straciły,
Ramieniem kobiet i dzieci broniona,
Pokryta licznymi mogiły.

Cześć Tobie, Polsko, znów odzyskana
Przez Twoich wiosek popioły,
W wieczystej nadziei wśród łez wyśpiewana
Przez wierne nasze kościoły.

Oby, co wspólną zgodą zdobyte,
Co z Boga pomocą się stało,
Co w odkupieniu krwią czystą obmyte —
Oby już zawsze istniało!

*

*

*

Odwieczna Kostucho! Potężna twa siła,
Lecz Pan twój chciał, że nie ległem.
Lat wiele na wojnie tyś za mną chodziła,
A jednak się tobie ustrzegłem.

Pamiętasz, jak będąc z wrogami w znowach,
Z pod ziemi tyś wyrastała,
Lub też po krzakach, lasach i rowach
Wytrwale tyś za mną szukała?

A ja — były chwile — ja z ciebie kpiłem,
Lecz jednak kolana zginałem,
Stawiałem ci czoło, i znowu się kryłem,
I często na ziemi leżałem.

Uszedłem tobie! Nie miałaś zlecenia,
W życia zatrzymać mię biegu,
A dziś umiem wszystkie znosić cierpienia
I znowu stanąć w szeregu!

I nie żałuję, że tak cię poznałem,
Że wiem, czem jesteś, co umiesz;
Co myślę o tobie — ja już ci wyznałem,
I ty mnie dziś także rozumiesz.-

Wybacz, Kostucho, że czasem cię lżyłem,
Gdyś moich braci mi brała,
Wybacz, że często tak z ciebie szydziłem,
Kiedyś się do mnie zbliżała.

Wszechmocy nie masz, bo Władca w niebie
Kieruje losem człowieka,
Gdy wyrok zapadł, litości od ciebie
Nigdy się nikt nie doczeka.

Choć wojna przeszła, wciąż rosną mogiły:
Pokojem się ty nie przejmujesz,
Z pól bitew nie ludzie, lecz wilki wróciły
I nimi się dziś posługujesz.

Lecz ufam, że nadal oszczędzić mię raczysz,
Bo znów, gdy kraj będzie w potrzebie,
Na nowo w Ojczyzny mię służbie zobaczysz
Na polu, przy czarnym chlebie.

A jeśli Bóg da mi lata sędziwe,
Nie trzeba ci będzie mię gonić,
Gdy złożysz rękę na włosy siwe —
Nie będę się tobie już bronić...

Z WYCIECZKI DO BIAŁOWIEŻY

w lutym 1933 r.

Puszcz, ty nasza prastara,
W zimowej szacie uśpiona,
Wesoła cię budzi wycieczka,
Ku tobie wyciąga ramiona.

Gonia się sanie, saneczki,
Po miękkiej, puszystej pościeli,
Ochocze parszkają koniki,
W śniegu nurzają się bieli.

Patrzą dęby zdziwione,
Sosny, graby i klony,
Ciekawie pytają nawzajem:
— Kto to zawitał w te strony? —

— Na Boga! Nie obcy my ludzie,
My, cośmy do was tęsknili
I często w swoich marzeniach
Myślami wśród was bładzili.

Już zawsze my poznać was chcieli,
Toż chyba gościnę nam dacie,
Sunie my po śniegu weseli,
Przyjrzyjcie się, przecież nas znacie!

My z pól wielkopolskich i łąnów,
Dzieci tej samej macierzy,
Co dnia wpierw słońce was wita,
A potem do nas przybieży.

Od dawna nas pali pragnienie,
Posłuchać waszych pogwarów,
Wypatrzeć wam tajemnice
Cudów waszych i czarów.

Puszczu, ty żubrów kraino,
Siedzibo rysia dzikiego,
Przeróżnych roślin ogrodzie,
Schronisko ptactwa płochego!

Puszczu, ty w piękno bogata,
Wspaniałe tworze przyrody,
Z ciebie tu teraz czerpiemy
Ducha beztroskiej pogody.

Kochamy was, ciche knieje,
I uroczyska wy święte,
I ciemne, mroczne gęstwiny
I gaje czarami zakłete.

Zanim się z wami rozstaniem,
Przerwicie zdumione milczenie,
Zaszumcie silnie wokoło —
I dajcie nam to przyrzeczenie,

Że czasem wspominać będziecie
Te z nami spędzone godziny,
W ojczyźnie naszej zrodzone
Wy lasów potężne syny,

Że zostaniecie nazawsze
Już tylko między swoimi,
Że polskiej naszej ziemiicy
Będziecie zawsze wiernymi,

Że nie wpuścicie do siebie
Obcych, co was nie kochają,
Którzy dla waszej piękności
Podziwu i serca nie mają. —

Saneczki dalej pomknęły...
Puszcza już szumi na cało.
Nadzieją i wiarą silniejszą
Serce w nas raźniej zadrgało.

— Żegnajcie drzewa wy drogie!
I my wam też przyrzekamy,
Że zgodnie was bronić będziemy,
Że was nikomu nie damy.

Musimy was zawsze utrzymać,
Bory wy Białowieży,
W potrzebie i do nas wołajcie,
Do naszych zachodnich rubieży.

I wiedzcie: gdyby wrogowie
O was się znów pokusili,
To my w szeregach obrońców
Byśmy jak mur się stawili.

ŽUBR

Jest w Polsce przedziwny szmat ziemi,
Z piękności przyrody swej znany,
Jest chlubą naszego narodu
I przez nas puszcza nazwany.

To słowo „puszcza“ wystarczy,
By światu mówić o cudzie.
Nam wyraz ten cześć przykazuje,
Lecz znają go obcy też ludzie;

I jakby tem słowem się pieszcząc,
Tak każdy w niem piękno ocenia,
Ze nikt nawet z innych narodów
Na język je swój nie odmienia.

I każdy wie, że w tej puszczy,
Innym wiatr szumem powiewa,
Że innym tam rykiem zwierz woła
I jakoś inaczej ptak śpiewa.

I słusznie, bo wielka natura
Ten sobie zakątek wybrała,
Tę ziemię nad inne wyniosła,
Tu wyraz potęgi swej dała.

Tutaj na żyzną glebę
Ziarn masy rzuciła hojnie
I drzewom przez długie czasy
Kazała wzrastać spokojnie.

A było to przed wiekami,
Gdy wschodzić poczęły zamłodu,
I dziś one głosićby mogły
Prastare dzieje narodu.

Puszcz! Odkąd wrogowie
Wojny ci wnieśli zarzewie,
Wśród borów twoich i lasów
Nastało tu bezkrólewie.

Bo wrogi, co drzewa twe święte
Zachłannie, jak żyto, kosili,
Hańbę na siebie ściągając,
Króla ci twego zabili.

Lecz gdy już przeszła pożoga,
Gdy Wolność narodu wróciła.
Życie po lasach zadrgało...
Radość na nowo odżyła.

Bo nagle wyszedł żubr wielki,
Z klatki na wolność puszczony,
I stanął wśród bujnej zieleni,
Popatrzył na wszystkie strony,

I zarył się w miejscu spokojny,
Wzrok rzucił na ludzi zebranie,
Jakby wszystkiego ciekawy
Dokoła stawiał pytanie.

Łeb uniósł, kręcąc kark silny,
Nieufny i pełen zdziwienia,
Jakgdyby pragnął przemierzyć
Wielkość nowego więzienia.

Hej, żubrze, pamiętna ta chwila!
Tak długo smutno ci było,
I ciszą tyś się zataił,
Nim w górze wiatrem zawyło.

Lecz gdyś usłyszał szum lasów,
Gdzieś w wielkiej oddali się rwący,
I ciągle ku twoim uszom,
Do siły grzmotu rosnący...

I gdy już zupełnie się zbliżył,
Gdy nad twą głową przepłynął,
I zwolna w innej znów stronie
Gdzieś hen — daleko zaginął...

Wtedy odrazu pojąłeś,
Że wokół puszcza daleka,
Że w swojej jesteś ojczyźnie,
Że życie nowe cię czeka.

I zrozumiałeś, że bory
Znów władcę swojego uznały,
Że lasów olbrzymy prastare
Królestwo ci twoje oddały.

I wodząc spokojnie dokoła
Tak smutnem zawsze swem okiem,
Ku świerkom z miejsca ruszyłeś
Z godnością, poważnym krokiem.

I, by zaznaczyć swą władzę,
Ty drzewo na rogi nadziałeś
I jednym potężnem zaparciem
Z korzeniem je z ziemi wyrwałeś.

A ludzie, co ciebie przywieźli,
Co każdy krzew tu kochali,
Nie niszcząc nawet gałązki, —
Ci z tego radośnie się śmiali...

Bo tylko tobie to wolno!
Więc tratuj wokoło, wrywaj,
Nie hamuj swojej swawoli,
Dowolnie sobie używaj!

A puszcza dla władcy swojego
W cierpliwość się wielką uzbroi
I każdą, co zadasz jej ranę,
Dla ciebie na nowo zagoi.

Tak, żubrze, minęły złe chwile,
Masz teraz wszelkie swobody;
Bądź panem w ojczyźnie swojej,
Już żadnej nie doznasz tu szkody.

Ni wróg, ni też człowiek niedobry
Ku śmierci już cię nie pogoni,
Bo naród, co wolność kocha,
Ciebie w tych lasach ochroni.

I bądź teraz dobrej już myśli,
Twój los się na gorsze nie zmieni;
Niech twoja szlachetna rodzina
Tu w wielką się ilość rozpleni.

Puszczu, w twej kniei po latach,
Wszystko się gęściej rozrośnie,
A żubr nasz całemi chmarami
Ryczeć tu będzie radośnie.

Puszczu, w twych rzekach, rzeczulkach
Moc wody spokojnie upłynie,
Lecz kiedyś dziś wielkie tve imię
Potężniej jeszcze zasłynie.

ZŁY KRÓL

— **K**ryzysie srogi, ty władco okrutny,
Z którejże to strony przybyłeś?
Czemu przyniosłeś nam los taki smutny
I uśmiech nam z liców spłoszyłeś?

Niemіłosierny, niebacznym na żale,
Choć patrzysz na twarze stroskane,
Twa postać naprzód kroczy wytrwale,
Wciąż nową zadajesz nam ranę.

Przecież i dawniej istniałeś na świecie,
I walkę z tobą my znamy,
Lecz dziś ciężar władzy twej strasznie nas gniecie,
A bronić się sił już nie mamy.

Wielu nas widzisz w okropnej udręce,
Bezwzględność twa wszystko marnuje,
Dziś każdy bezradnie opuszcza swe ręce
I mało kto teraz buduje.

Wciąż nowe ofiary do ziemi przyduszasz,
Zabierasz im młode ich siły,
Zwątpieniem dusze do głębi poruszasz
I radzisz im szukać mogiły.

Winnych, niewinnych, słabych i wielkich —
Wszystkich doświadczasz tak srogo,
By zniszczyć nas, środków imasz się wszelkich,
Czy nie oszczędzisz nikogo?

Od dawna znieńawidziliśmy ciebie,
Pragniemy cię wreszcie pochować,
Czy nigdy nie pójdziem na twoim pogrzebie,
Czy zawsze nam będziesz królować?

Czyliż trudami i znojem zbiedzeni,
Na drodze my ustać już mamy?
Czyli w rozpaczy otchłań wtrącenii,
My wszyscy ci życie oddamy? —

*

*

*

— Wyrzutów waszych długo słuchołem
I gorzkich słów w waszej mowie,
I patrząc tak na was, cierpliwie milczałem,
Lecz teraz zły król wam odpowie:

Kroczyłem zawsze z wami przez życie,
Zastępowałem wam drogi,
Raz jawnie, inny raz znowu skrycie,
I nieraz też byłem srogi,

Lecz postać olbrzyma to wy mi nadali,
Co teraz chcecie umierać,
Wy, którzy na mnie, bezsilni, mali,
Swą zemstę chcecie wywierać.

Ja was przekonam, że winę wy macie,
A nie przygniotę was nogą,
I we mnie innego ducha poznacie,
Lecz inną idźcie już drogą.

Gdzież jest uczciwość, co dawniej święta,
Wspaniale wami rządziła,
Niech wstecz się zapatrzy, niech każdy pamięta,
Że ona przed złem was chroniła.

A dzisiaj — o bliźnich zapominacie,
Złe serca wy cechy zdobyli,
Że każdy żyć musi, wy oto nie dbacie,
Boście sumienie uśpili.

I gdy się do pracy z innymi łączycie,
Wy kosztem dobra cudzego,
Na swą korzyść naprzód rachunki robicie,
Czyż to jest miłość bliźniego?

Miast wiecznie o ciężkiej niedoli rozprawiać,
Nad swoim narzekać wciąż losem,
Przestańcie innym krzywdy zadawać,
Uczciwych przejmijcie się głosem.

Opatrzność na to rozum wam dała,
By złego przyczyny odszukać,
A gdzież w siły własne się wiara podziela,
Próbujcie do duszy zapukać!

A gdzież nadzieja jutra lepszego,
Która w spokojnem sumieniu
Czekać nam każe słońca drogiego
W nieba chwilowem zaćmieniu?

Odwiecznie niezmiennie te duszy dogmaty
Ludzkości były przewodnią,
Chroniły zawsze świat od zatury,
I w przyszłość świeciły pochodnią.

Cnoty te w sobie odnaleźć musicie,
A wtedy zło prędko przeminie,
Do siebie z ufnością się znowu zbliżycie,
Inaczej znów wolność wam zginie.

Cierpliwie niech każdy wytrwa na mecie
I cudzą niech własność szanuje,
A ze mną choć dalej walczyć będziecie,
Przymierze wśród nas zapanuje.

I zginie wam w duszy zabójcze zwątpienie,
Zły król wam królować przestanie,
I każdy powoli odzyska swe mienie,
I duch wasz do życia powstanie. —



SPIS RZECZY:

	str.
Mój Chrzest Ogniowy	5
Z wycieczki do Białowieży	45
Żubr	51
Zły Król	59



Nie pożyczaj się do

BIBLIOTEKA
UNIwersytecka
Gdańsk

II 340995

